

rozmowa z **Krystyną Jandą**, aktorką

- Co niesie ze sobą w Polsce pozycja „gwiazdy”, jakie przywileje i ograniczenia?

- Taka pozycja zwyczajnie zobowiązuje. Oczekiwania publiczności z latami rosną. Przy każdym nowym przedsięwzięciu czuję wokół siebie ogromne napięcie. Środowisko, koledzy, publiczność nie chcą, żeby ich zawieść. Pracuję w ciągłym stresie. Wzrasta świadomość i lęk, czy to, co się robi jest dobre.

Stałam się teraz bardzo ostrożna. Staram się uważać na każdy krok, na każde słowo wypowiedziane publicznie. Wielokrotnie cytowano nieprecyzyjnie moje prywatne sądy, które wypowiadałam wyłącznie towarzysko lub np. w salonie fryzjerskim. Bardzo rzadko gdziekolwiek bywam poza zawodowymi obowiązkami. Uczę się być mniej „spontaniczna i szczerą” publicznie (śmiech). A poza tymi „drobiazgami” pozycja gwiazdy, jak pani to nazywa, daje niezwykłą szansę decydowania o swojej karierze, jeżeli ktoś potrafi wykorzystać tę pozycję w tym właśnie celu.

Publiczność bywa okrutna wobec swoich gwiazd. Potrafi równie mocno kochać, jak nienawidzić. Pod tym względem Warszawa różni się bardzo od np. Krakowa, gdzie jeżeli raz zostało się gwiazdą, to jest się nią już do końca życia. Warszawa to miasto, które czyha na porażkę.



SKOK

z iglicy Pałacu Kultury

- Wymienia pani same przykre strony bycia osobą znaną i popularną. Czy jednak ten fakt nie okazał się pomocny w realizacji pani filmowego debiutu reżyserskiego?

- Niewątpliwie moja pozycja miała tu znaczenie. Moje nazwisko nie gwarantowało poziomu, ale z pewnością zaciekało. Ta ciekawość miała jakąś wagę. Myślę jednak, że moje dwudziestoletnie doświadczenie zawodowe, to, w jaki sposób chciałam zrobić ten film, pierwsza wersja scenariusza, to, że będzie pracował ze mną mój mąż - okazało się nie mniej ważne. Do realizacji „Pestki” doszło po dwóch latach starań. Wcześniej zrobiłam dwa spektakle telewizyjne: „Hedde Gabler” i „Cyda”, które zostały dobrze ocenione. A teraz jestem przekonana, że jeżeli mi się nie uda, to nie będę mogła zrobić czegoś następnego wykorzystując wyłącznie swoją pozycję.

- Odbierana jest pani poprzez swoje wizerunki filmowe, które wcale nie odpowiadają pani rzeczywistej osobowości jako osoba ostra, nerwowa. Czy to panią nie drażni?

- Zagrałam około stu różnych ról, z czego „nerwowych” jest nie tak wiele. Jeżeli ktoś tego nie zauważył i nadal kojarzy mnie z „Człowiekiem z marmuru”, to znaczy, że nie jest to partner do rozmowy. Nie warto nic prostować. Jestem osobą, która nigdy nie ogląda się do tyłu. Nie interesują mnie ani chwala, ani porażka, które pozostawiłam za sobą. Za swój największy sukces uważam fakt, że wciąż budzę ciekawość publiczności. Nie mam do siebie pretensji, myślę, że jestem aktorką, która przez dwadzieścia lat proponowała publiczności i krytyce naprawdę bogate „menu”. A dziennikarze i krytycy, to jeszcze coś innego... Szczególnie ci debiutujący, którzy chcą szyb-

ko zrobić karierę zwracając na siebie uwagę. Rozumiem ich, zaczynałam podobnie.

- Czasem wywiadem można aktorowi pomóc...

- Oczywiście. Jestem aktorką, która to rozumie, co potwierdza liczba wywiadów przeze mnie udzielonych.

- Co stanowi dla pani stałą wartość zawodu aktorskiego?

- Jest to zawód, który - jak żaden inny - wymaga stałego treningu. Oprócz tego trzeba za wszelką cenę starać się być prawdziwym człowiekiem, mieć też świadomość, dla kogo się pracuje, rozumieć publiczność. Inaczej może przyjść taki moment, nawet w przypadku doskonałego technicznie aktora, że traci się poczucie aktualności, a tym samym „wypada z pociągu”. Cybulski nazywał to „wacaniem czasu”. Tej chwili można nie zauważyć i wtedy stajemy się bezużyteczni zawodowo, tracimy kontakt z publicznością, która może już mówić innym językiem.

- Czy kiedykolwiek coś stanęło pani na drodze do uprawiania zawodu?

- Tak. Kiedyś zaproponowano mi rolę w filmie amerykańskim pt. „Wybór Zofii”. Kręciłam wówczas film w Paryżu. Ambasada polska poinformowała mnie, że jeżeli przyjmę propozycję, nie będę mogła wrócić do Polski. Byłam podobno na jakiejś czarnej liście w telewizji. A poza tym często „stają mi na drodze” moje obowiązki matki i żony (śmiech): ciężce, porody, karmienia... Mój zawodowy luksus polega na tym, że nigdy w życiu nie musiałam odrzucić roli ani decydować się na nią z powodów finansowych. Dom utrzymywał zawsze mój mąż. I tak dzieje się do tej pory.

- Co jeszcze daje pani poczucie bezpieczeństwa, a tym samym swobodę robienia tego, co naprawdę pani lubi?



Jestem osobą, która nigdy nie ogląda się do tyłu

1. W domu z mężem i dziećmi
2. Na planie „Pestki”

Zdjęcia: Piotr Matecki, Krzysztof Wójcik / FORUM

- Pozycja gwiazdy (śmiech). A poważnie – to prawdziwy luksus, że po latach rozstania znów mieszkam z mamą i tatą. W związku z tym mam świadomość, że nic nie może stać się moim dzieciom, mojej rodzinie, mojemu domowi, póki rodzice są ze mną. A oni są spokojni, ponieważ ja stoję przy nich.

- Grała pani u reżyserów o silnych osobowościach, którzy zdawaloby się - mają z góry ustaloną koncepcję postaci. Jak to dawało się pogodzić z pani buntowniczą i twórczą naturą?

- Nie ma reżyserów, którzy „robią” role. Ja w każdym razie nigdy się z takim nie spotkałam. W związku z tym, żeby trafić w ton, który ma w sobie reżyser, należy naprawdę starać się go zrozumieć. Moje „buntury” wybuchają zawsze w sytuacji, gdy reżyser nie chciał mi nic wyjaśnić, nie chciał ze mną rozmawiać.

W polskim kinie zdarzały się pomyłki i zmiany aktorów o wielkich nazwiskach; bywało, że już po rozpoczęciu zdjęć! Aktor nie trafił w rolę - mówiono. Stąd twierdzenie, że 80 proc. powodzenia filmu to właściwa obsada. Myślę jednak, że prawdziwe porozumienie przed filmem pozwala uniknąć na planie wielu konfliktów. Teraz reżyser stara się mnie wysłuchać, dawniej prawie każdy z nich, angażując mnie mówił: ja cię „urobię”.

- Powiedziała kiedyś pani o Agnieszce Kruk: „To jej chcę przekazać wszystko, co umiem”. Co jest niezwykłego w tej aktorce?

- Agnieszkę spotkałam podczas zdjęć próbnych do „Heddy Gaber”. Kiedy w trzech zdaniach wyprowadziła bardzo skomplikowany przewód myślowy i psychologiczny tak cudownie oszczędnymi środkami, po prostu zwirowałam! Agnieszka gra od dziecka, jest technicznie doskonała, a przy tym zachowała świeżość i spontaniczność. Poza tym nie widzę drugiej takiej młodej aktorki, która miałaby równie wielką prawdę w oczach.

- Czy nie obawia się pani, że wykreuje ją na swoje podobieństwo?

- Skąd, ona jest już wykreowana! Jest osobowością! Jej można jedynie przekazać umiejętności techniczne, drobne tajemnice, których nie uczy się w szkole, a do których dochodzi się w zawodzie latami.

- Jest pani osobą, którą zawsze interesowały ryzyko i nowości, gotową na wszystko: na przygodę, na przysłowiowy „skok z iglicy Pałacu Kultury”. Tak też przyjęto wieść o pani reżyserskim debiucie filmowym. Czy dużo niespodzianek spotkało panią podczas realizacji „Pestki”?

- Żadna! Żeby to zrozumieć, trzeba poznać jedną cechę mojego charakteru. Grając przez lata w filmie, nigdy nie czekałam na swoje wejście w ba-

rze czy samochodzie, jak to czynią zazwyczaj aktorzy. Moje ujęcie mogło być za 4 godziny, mimo to cały czas pozostawałam na planie: u boku reżysera, obok kamery. Jestem aktorką, która zawsze pyta: jaki obiektyw jest w kamerze, dlaczego ma być „najazd” na mnie itd. Taki mam temperament! Mnie to autentycznie interesowało i okazało się doskonałą szkołą rzemiosła reżyserskiego.

- W „Pestce” zagrała pani również główną rolę. Czy podejmując się reżyserii tego filmu, rozważała pani w ogóle zaangażowanie do niej kogoś innego?

- Był taki moment. Chciałam to zrobić ze strachu, tuż przed rozpoczęciem zdjęć. Ale od początku, myśląc o „Pestce”, myślałam o roli dla siebie. Okoliczności sprawiły, że w rezultacie film również sama wyreżyserowałam.

- Podobno aktor nie wie do końca jak wygląda, kiedy gra. Czy można dobrze siebie samą wyreżyserować?

- Na planie miałam monitor. Wszystkie próby były nagrywane. Za każdym razem natychmiast się oglądałam. Najsurowiej oceniałam samą siebie.

- Jaką metodę pracy z aktorami przyjęła pani przy realizacji „Pestki”?

- Przede wszystkim, miałam przy sobie samych przyjaciół. Nie mówię tylko o aktorach, mówię o całej ekipie. Byli to ludzie, z którymi spotykałam się przez 20 lat jako aktorka, lubili mnie i chcieli ze mną pracować. Naprawdę czułam, że wszyscy zdają sobie sprawę z trudności mojej sytuacji i wszyscy chcą mi pomóc. A byłam otoczona ludźmi, którzy od lat pracują w kinematografii i mają ogromne doświadczenie zawodowe. Jaką metodę przyjąłam? Otwarości, rozmawiania, przyznawania się do swoich wątpliwości, błędów. Wszystkim - przed filmem - powiedziałam: gdy będę robiła głupoty, złapcie mnie za rękę! Dotyczyło to wszystkich, łącznie z kierowcami taksówek.

- Czy ta metoda sprawdziła się?

- Absolutnie! Na przykład taki drobiazg. W trakcie przygotowań do scen odbywających się w Boże Ciało, okazało się, że nie ma białej koszuli dla Daniela Olbrychskiego. Normalnie wszyscy machnęliby na to ręką, ja też tak chciałam zrobić. Ale asystentki garderobianej zaprotestowały. Takie sytuacje zdarzały się na planie niemal codziennie.

- Co będzie, jeśli film okaże się porażką?

- Dziś wiem, jaki to jest film, ale nie wiem, ile jest wart i czy będzie miał publiczność. Mąż powiedział mi: „Jeżeli to będzie sukces, powiedzą, że to ja zrobiłem ci film. A jeżeli porażka, odpowiedzialność poniesiesz sama”. Mam tego świadomość.

Rozmawiała
EWA AWDZIEJCZYK